

Szkoła po sąsiedzku



Tak wyglądały kiedyś klasy w szkołach, z tablicą, liczydłem, globusem i ławkami z otworami na kałamarze. Na zdjęciu zrekonstruowana klasa w Szkole Podstawowej w Pakosławiu, fot. ilza.com.pl

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Pierwszą moją nauczycielką była pani Leparska. Dojeżdżała z miasta. Starsza, korpulentna i bardzo zadbana pani. Zapamiętałem jej broszkę pokaźnych rozmiarów, pierścionki i bransolety na rękach. I manicure na jej paznokciach, które widziałem po raz pierwszy w życiu. Nosiła duży męski zegarek – chyba złoty. To ona uczyła pierwszych tabliczek mnożenia. Czytać to już umiałem przed pójściem do szkoły. Niedaleko naszego domu, na żwirowni, popisywałem się przed starszymi kolegami, czytając im po raz kolejny pouczającą historię o Janku, co psom szył buty. Po dwóch latach mojej nauki pani Leparska przestała dojeżdżać. Zastąpił ją w 1959 roku Leonas Kurklenas, który wraz z żoną, też nauczycielką, przyjechał do Fabianiszek z głębi Litwy, by nas uczyć polskiego.

Przez cały czas istnienia szkoły była tu pani Teresa Fiodorowicz. Elegancka i bardzo piękna podobno w młodości kobieta. Mówiono, że jej narzeczony zginął w

czasie wojny. Ale szczegółów nikt nie znał, tyle tylko, że był w Polskim Wojsku, w partyzantce. W tamtych czasach nie mówiono w AK. Pani Teresa długo nie mogła przeżyć śmierci ukochanego i nigdy nie wyszła za mąż, prowadziła samotny i zamknięty tryb życia. Miała w Wilnie brata, ale zażyłości między nimi nie było. Potem - szeptano - związała się z jakąś sektą. Na starość unikała ludzi: szybko przemykała od przystanku autobusowego do szkoły, gdzie na poddaszu - na salkach - od lat zamieszkiwała. Tak samo, niemal biegiem, udawała się do studni po wodę, czuła zażenowanie, kiedy ją się spotykało, nie pozwalała pomóc sobie i zanieść wiadra.

Wiele czasu poświęcała czytaniu. To ona była u nas jedyną prenumeratorką w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takich czasopism, jak „Film” czy „Ekran”. Oczywiście, miała też „Przyjaciółkę”, a potem „Panoramę” - ale te pisma były bardziej znane, niektóre mieliśmy w domu.

Podkradaliśmy się czasem do jej czasopism. Po przeczytaniu pani Teresa składała je w stodole, która jako szkolna, nie dostała się kołchozowi. Choć była zamknięta na kłódkę, to przenikaliśmy z bratem do jej wnętrza przez liczne otwory. Czas spędzony w stodole obfitował w różne przygody. Penetrując jej zakamarki odkrywaliśmy wiele tajemnic, znajdowaliśmy tu czasem ciekawe rzeczy. Raz nawet trochę amunicji pod strzechą, którą wypróbowaliśmy w ognisku... Z czasopism pani Teresy wrywaliśmy kartki ze słynnymi sportowcami i aktorami. Tu, w dziurawej stodole, z żurnali przebijał wielki świat.

Pani Teresa miała jeszcze jedną pasję, która graniczyła z obsesją. Lubiała czystość na szkolnym podwórku. Nie mogło tam być papierka, najmniejszej gałązeczki czy opadłego liścia, uporczywie walczyła z chwastami. Tego wymagała i od nas, co uważaliśmy za przesadę.

A ogródek był co się zowie! Upiększały go „szczepione” bzy i jaśminy, dzika róża, rosły najprzeróżniejsze kwiatki, w tym rzadkie w naszych stronach. Dróżki przy klombach były wysypane żółtym piaskiem, znaczone kamykami i tłuczoną cegłą, pobielonymi wapnem kamykami. Musieli też uczniowie pracować w szkolnym ogródku. Każdy miał swoje indywidualne grządki, o czym świadczyła stosowna tabliczka z nazwiskiem. Prócz warzyw najpospolitszych, takich jak marchew czy buraki, rosły tam bób, fasola i groch. W szczególny zachwyt przyprawiała uczniów „czerwona kapusta” i arbuzy.

Jesienią ulubionym miejscem, gdzie się gromadzili uczniowie, była grusza, z drobnymi, ale bardzo smacznymi gruszkami. Jednakże zdobyć je było bardzo trudno - nauczyciele pozwalali zbierać owoce tylko z ziemi. Było tego niewiele - chyba, że rzuciło się w gruszę jakimś kijem, albo dobrze nią potrząsnęło. Trzeba było uważać, bo gdy zobaczył to nauczyciel, jedyny mężczyzna w szkole, to już on wtedy potrząsał uczniem.

Grusza stanowiła fragment przerezanego sadu. Rosły tam różne jabłonie od antonówek po rajskie jabłuszka, a także wiśnie, porzeczeki, maliny i agrest. Sad, jak i budynek szkolny, przed wojną należał do brata mojego dziadka - Władysława. Jako najbardziej okazały w okolicy, sielsowiet* przeznaczył budynek właśnie na szkołę początkową. Nawet nie był to wariant najgorszy w latach, gdy oczodołami okien straszyły puste domy, zaś wywózki na Sybir, a potem w ramach tzw. repatriacji do Polski, nikogo nie dziwiły. Przez pewien czas ojciec miał pracę przy szkole - ni to stróża, ni to stolarza, taki sobie zawchoz**.

Nasz dom stał obok, więc nauki pobierałem po sąsiedzku.

- Już dzwonek, po przerwie śniadanie skończysz! - wołała matka. Wyruszałem więc przez podwórko prosto do klasy. Na górze właśnie mieszkała pani Teresa, obok niej mieszkanie przydzielono przybyłym Kurklenasom. Kiedy szkołę likwidowano, pani Teresa była w wieku emerytalnym. Jeszcze rzadziej pokazywała się „na ludziach” i jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Dziwaczka - z politowaniem pełnym szacunku mówiono o niej. Potem chorowała, przebywała w szpitalu, aż nie wróciła na swe nigdy nieremontowane i przeciekające poddasze.

Dziadek Władysław tylko jeden raz widział swój letniskowy dom (większość czasu spędzał w mieście), oddany pod szkołę, bo tylko raz przyjechał odwiedzić Wilno. Nie ciągnęło go jakoś. Był to człowiek zasługujący oddzielnej książki. Humorystyczno-sensacyjno-dramatycznej. Niedoszły ksiądz (zaliczył dwa lata seminarium), wytrawny esteta, a nade wszystko specjalista od interesów, miał w Wilnie knajpki, niedaleko Gazowni i na Mostowej, młyn i coś tam jeszcze. Potrafił wesoło spędzać czas, lubił w przednim towarzystwie pograć w karty. Ale wiedział z kim i kiedy skończyć - więc nie przegrywał i nieźle mu się w sumie wiodło.

Potem posiadłości zabrali Sowieci, a ich właściciel trafił na Syberię. Ale i tam sobie poradził. Z Syberii udał się wprost do Polski i osiadł w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. To od niego dostałem swój pierwszy w życiu wyzow*** i ze

Szczecina rozpocząłem pierwszą i pełną przygód podróż dookoła Polski. Dziś dziwię się, jak mogłem objechać pół kraju – głównie autostopem – bez pieniędzy. Wtedy, bardziej niż dziś, wiedziałem, czym może nie być dla mnie Polska.

Dziadek Władysław, szczupły, wręcz drobny mężczyzna, mimo chorowitego w młodości zdrowia, w Szczecinie dożył sędziwego wieku – zmarł mając 102 lata. Miał nadzwyczajną pamięć, nigdy go nie opuszczało wyrafinowane poczucie humoru. Sensacją w latach sześćdziesiątych było zamążpójście za Amerykanina jednej z jego córek, a mojej ciotki, i odpłynięcie własnym jachtem do nowego życia za ocean.

Po latach na zdziczałym skrawku ziemi, gdzie stał dom stryjecznego dziadka, gdzie pozostały też i resztki naszego sadu – jacyś Amerykanie w ostatnich przed rozbiórką domach pytali o Mieczkowskich. Ale zastraszony lud i o przytępionej pierwszymi ciosami przez dziki kapitalizm pamięci – nie mógł doradzić, jak nas odnaleźć. Do głowy mu nie przyszło, iż wystarczyło poszukujących odesłać do byle jakiej polskiej gazety czy organizacji. Ale na taki pomysł młodsze pokolenie byłych sąsiadów nie wpadło. Może dlatego, że to byli goście właśnie z Ameryki.

Przywołując moją pierwszą szkołę, nie mogę nie wspomnieć pewnej staruszki, która wprawdzie nauczycielką nie była, ale bardzo chciała nauczyć mnie francuskiego. Pewnie dlatego mówiła do mnie wyłącznie w tym języku. Otóż w naszym domu znalazła przytułek pani Buterlinowa, z dworu w Zameczku.

Była to zasuszona staruszka, którą wypędzono ze znacjonalizowanego majątku. Miała długi zakręcony kij. Bałem się go najwięcej, ponieważ kiedy byłem niesforny, usiłowała złapać mnie zaokrąglonym końcem owego kija. Pani Buterlinowa miewała zaniki pamięci, wyruszała w nagłe wędrówki i potem trzeba było ją szukać. W czasie jednej z nich zginęła w wypadku samochodowym.

Jej życie i śmierć przywodzi na myśl obecność w naszym domostwie poczciwego psa Wilka. Był to owczarek, którego zostawili cofający się Niemcy. Jakież niezwykle mądre było to stare jednookie psisko! Doskonale rozumiał nas – kiedy, na przykład, rodzina wyruszała do krewnych – biegł pierwszy i naszczekiwał. Był to znak, że niebawem pojawią się Mieczkowsy.

Wilk również odegrał znaczną rolę w moim wychowaniu – pilnował mnie, żebym nie oddalał się za daleko. Miał swoje lata, słabo widział, nie dosłyszał. Pewnego razu został również przejechany przez samochód. Potem mieliśmy wiele psów, ale

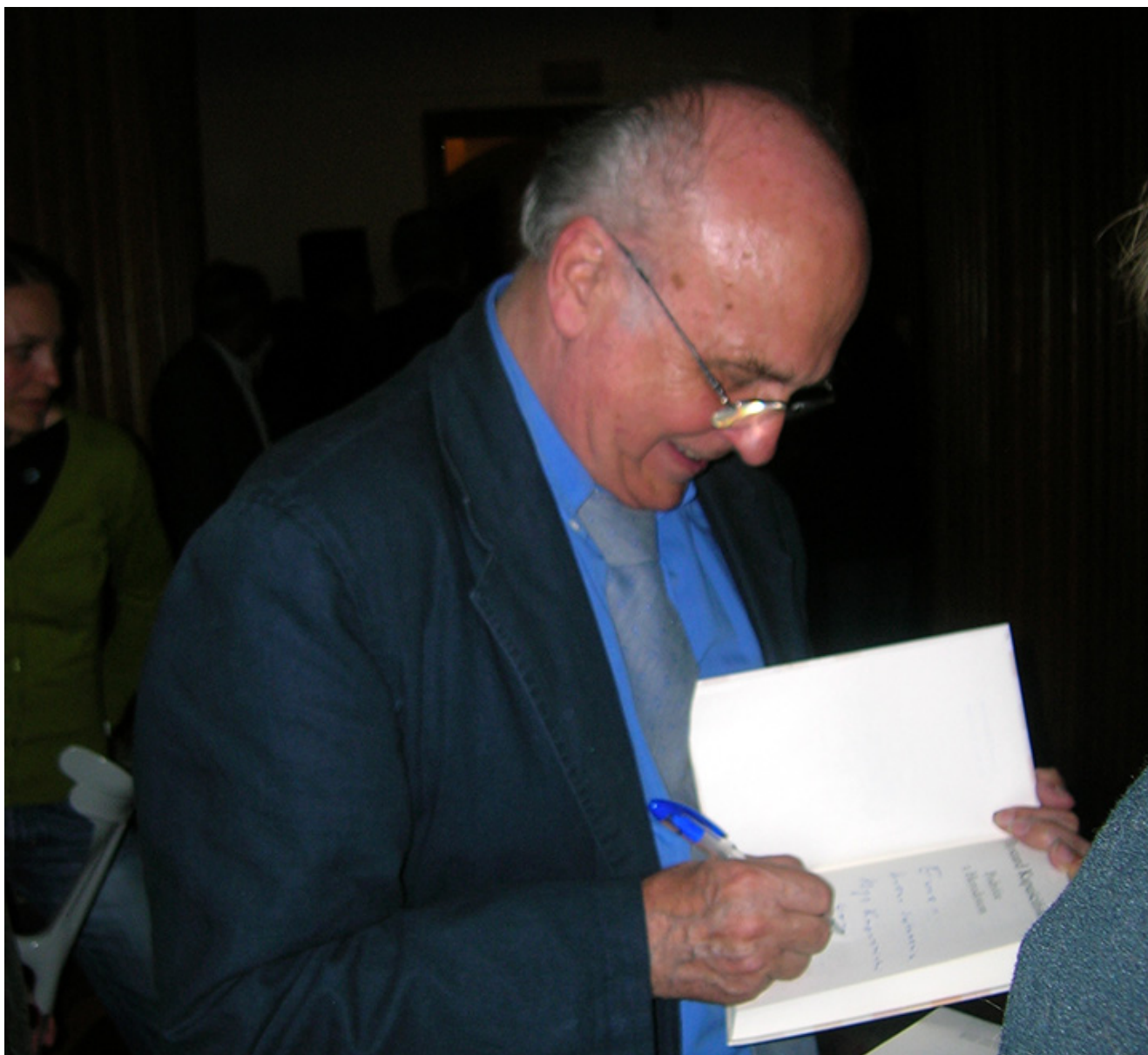
żaden nie dorównał inteligencją i wiernością Wilkowi.

* *sielsowiet* (ros.) - rada wiejska

** *zawchoz* (ros. skr.) - odpowiedzialny ds. gospodarczych

*** *wyzow* (ros.) - popularna nazwa oficjalnego zaproszenia, na podstawie którego wydawano zezwolenie na odwiedzenie

Odłożona rozmowa o Polesiu i Kresach



Ryszard Kapuściński w Domu Literatury w Warszawie, 2 października 2006 r., fot. R. Mieczkowski

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Widziałem Go ostatni raz 2 października 2006 r. w Domu Literatury, na Krakowskim Przedmieściu, w Warszawie. Podczas wieczoru poetyckiego. Siedzieli we trójkę na scenie, w wypełnionej, rzadko ostatnio, po brzegi sali. W środku – Julia Hartwig, bohaterka spotkania, która miała cykl spotkań z okazji swego 85-lecia. Obok – jej przyjaciele – Ewa Lipska, pełna optymizmu i witalności, która zagaiła ten wieczór, zaś po lewej stronie pani Hartwig – właśnie Kapuściński. Mówił cichym, bardzo spokojnym głosem, o wątkach reporterskich w jej twórczości, uśmiechając się pogodnie.

Po spotkaniu miał pełne ręce roboty – co rusz podchodzono do Niego po autografy. Każdy chciał z Nim zamienić choć parę słów, zrobić razem zdjęcie. Był

na topie – jego kandydaturę zgłoszono do Nagrody Nobla, dyskutowano półgłosem o szansach dla kolejnego Polaka. Odczekałem aż będzie wolniejszy i zapytałem pisarza:

– Kiedy Pan znajdzie trochę czasu na tę naszą rozmowę, która ciągle się odkłada?

Odpowiedział, że dłuższa to może być rozmowa. Że więcej czasu raczej będzie chyba miał już po powrocie z Ameryki, dokąd ma wyruszyć z wykładami na Uniwersytecie Columbia... Zapewnił mnie, że na pewno da mi znać, że musi się zastanowić co do terminu, że również chce ze mną porozmawiać.

A miała to być szczególna rozmowa. Od dawna chciałem bowiem porozmawiać z Mistrzem Reportażu. Nie o szerokim świecie, dalekich krajach i zaskakujących puentach w postrzeganiu *innego* obok, nawet nie o tajemnicy bycia poetą – co o rodowodach Jego rodziny, o Polesiu, którego czar do dzisiaj żyje we wspomnieniach ludzi stamtąd się wywodzących, o Pińsku. Chciałem pokazać mu zdjęcia z Jego rodzinnego miasta i Polesia, wykonane przez Zofię Chomętowską. Pierwsze pochodzą z roku 1916, inne z lat dwudziestych. Dotarły one do mnie okrężną drogą, zwycięsko pokonując czas i wszystkie niedogodności losu aż z Argentyny. Przysłał mi je w darze, jako redaktorowi, piszącemu o ludziach z dawnych Kresów, Antoni Koelichen, z życzeniem, abym w odległych czasowo i bliższych terytorialnie praźródłach ojcowizny przybliżył sobie tamte strony, przysłał mi te unikalne zdjęcia z przekonaniem, że zostawia je „w pewnych rękach”.

Chciałem zapytać Kapuścińskiego o Jego przedwojenne dzieciństwo, o pierwsze kroki człowieka z Kresów w Polsce. O tym, czym ta kraina jest dla Niego dzisiaj. Tak się stało, że o tym znacznie mniej wiemy – wątki, pozornie monotonne i mniej ciekawe dla większości Jego rozmówców, niczym błota, mokradła i rozlewiska Polesia, zostały przyćmione dalekimi podróżami reportera i Jego rozważaniami nad pojęciem etyki i tolerancji w dzisiejszym świecie.

Miała to więc być rozmowa rodaków ze Wschodu, których łączy osobliwa nić porozumienia, jak stwierdził Pan Ryszard. Dla mnie – ucztą słuchania, dowiedzenia się wielu istotnych rzeczy, poznanie Kapuścińskiego z tej, mało eksponowanej strony.

Sławnego reportera poznałem w dość dziwnych okolicznościach. *Pierestrojka* weszła u nas w swą burzliwą fazę przemian. Na Litwie zaczynało na dobre wrzeć.

W 1989 roku zawitał do Wilna Ryszard Kapuściński. Nie wiem, w jaki sposób odnalazł mój telefon i kto Mu go dał, w każdym razie zadzwonił do mieszkania na Karolinkach, gdzie wówczas mieszkaliśmy, i poprosił o spotkanie. Po chwili przybył, chyba taksówką, razem z Piotrem Ikonowiczem. Już na wstępie dostałem ofertę współpracy z PAP, co więcej, Kapuściński wręczył mi coś w rodzaju akredytacji czy legitymacji, po polsku i po angielsku, dokument z odpowiednią pieczęcią, co pozostało gdzieś w papierach, ale już w innym mieszkaniu.

Ale moje losy tak ułożyły się, że i z tej oferty, jak i z wcześniejszej oferty robienia doktoratu w Instytucie Kulturoznawstwa we Wrocławiu, u prof. Stanisława Pietraszki, wyszły nici - z początku byłem zaangażowany mocno w działalność pierwszej po wojnie społecznej organizacji polskiej, której byłem współzałożycielem, wiele czasu wymagała praca w telewizji, gdzie prowadziłem magazyn cotygodniowy, oładnęła też mną redaktorska pasja przy wydawaniu „Znad Wilii”, pełna na tamtym etapie niepewności i trudnych zakrętów. Tym niemniej wysłałem jakieś informacje pod wskazany adres.

Znajomość odnowiła się na początku roku 2005, po tym, jak spotkaliśmy się w Warszawie, podczas wręczenia nagród przez redakcję „Rzeczpospolitej”.

- Śledziłem w ciągu lat pana działalność - powiedział wtedy podczas przyjęcia. - Jak się panu powodzi?

Zamiast opowiadać, dałem Mu numer kwartalnika „Znad Wilii”, jaki miałem ze sobą.

Po pewnym czasie otrzymałem list, datowany 13 marca 2005 roku. Znany reporter i poeta pisał:

Drogi Panie Romualdzie,

Było mi przyjemnie spotkać Pana na uroczystości wręczenia Nagrody Dariusza Fikusa i chociaż przez chwilę z Panem porozmawiać. Dziękuję za ofiarowany mi 4 numer kwartalnika „Znad Wilii”. Jestem pełen podziwu, uznania i szacunku dla tego, co Pan i Pańscy współpracownicy robicie na Litwie, zachowując tak wysoki poziom pisarski i informacyjny.

Życzę Panu wszystkiego najlepszego i załączam szczere, przyjacielskie pozdrowienia.

Odpisałem na ten list. I właśnie wtedy zaczęła kiełkować chęć dłuższej rozmowy, chęć słuchania tego niezwykłego człowieka. Potem spotykaliśmy się przy okazji wieczorów literackich, m.in. w warszawskim Klubie Księgarza, w Muzeum Adama Mickiewicza.

Ryszard Kapuściński odezwał się, jak mówił przy okazji ostatniego spotkania. W ostatnim e-mailu, datowanym 28 października 2005 roku, ubolewał, że na razie nie możemy się spotkać, bo intensywnie pracuje nad kolejną książką - *Lapidarium VI*, zaś spotkania i rozmowy Go bardzo rozpraszają. Prosił o wyrozumiałość, wyrażając nadzieję, że takie spotkanie na pewno się odbędzie...

Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamasyście i z wykrętami wypisano nazwę filmu. Wyruszaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza - po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej

maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwaliała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

- Zaczynaj, zaczynaj! – rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna... Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadowiali się w najlepszym miejscu – w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało – na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach – na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzętał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słyhać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!” – i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączaając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna – wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili

wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko - i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek... Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.

Staruszka z Zamkowej 42



Wilno, ul. Zamkowa

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Przechodziłem obok niemal codziennie. Nie pamiętam, od kiedy zaczęło mnie intrygować skromne mieszkanie przy ulicy Zamkowej 42, *vis á vis* cerkiewki piatnickiej. Nie zwróciłbym chyba uwagi na to wcale, gdyby w tej części starówki nie zaczęła zachodzić wielka zmiana. Po otwarciu punktu usługowego Fuji Film - o jasnych kolorach, nieskazitelnym połysku okna-witryny, zainteresował mnie kontrast. Nie tyle między tynkiem, pełnym zacieków i liszajów, a odremontowanym kwadracikiem Fuji, co między sąsiadującymi ze sobą drzwiami. Jedne - eleganckie, przeszklone we wzorki, o lśniących klamkach, drugie - dosłownie metr dalej - odrapane, ze szczelinami, drażnionymi przez pazur czasu, poobijane, z powyginaną framugą, sterczącymi gwoździami, jakimś rdzawym żelastwem, które służyło za klamkę.

Wtedy i pojawiła się ciekawość dowiedzenia się, co się kryje za tymi szpetnymi drzwiami, za oknem, w którym kwitły pelargonie na tle żółkłej firanki.

Mieszkanekę tego kąta ujrzałem pewnego wiosennego, ciepłego popołudnia. Stara i zgarbiona, siedziała na mocno sfatygowanym, staromodnym krześle, owinięta

chustą, patrzyła w dal. Ponad gwarny plac przed cerkwią, gdzie uliczni handlarze obrazami głośno i natarczywie zachwalali swój kiczowaty towar. Siedziała w otwartych drzwiach, obitych oberwaną miejscami ceratą, spod której wylały kawałki brudnej waty. W drzwiach poruszała się na lekkim wietrze kotara o nieokreślonym, wypłowiałym kolorze. Na kolanach trzymała białego kota w czarne ciapki. Nie licząc ścian, w tym miejscu miasta kobieta tworzyła jedyny punkt nieruchomy.

Potem staruszkę, siedzącą na swym krześle, z nieodłącznym kotem na kolanach, w okresie letnim widywałem często, przez parę lat stale. Pojawiała się, kiedy świeciło słońce, czasami była opatulona w ciepłe łachmany. Szczelnie zawiązana chustka świadczyć mogła o chorobie uszu, wydawało się, że mogła mieć problemy i ze wzrokiem. Była jakby nieobecna, niedzisiejsza, przypominała epokę, która dawno minęła.

Parę razy chciałem do niej zagadać. Kiedy raz powiedziałem „Dzień dobry”, kobieta pozostała nadal nieruchoma jak posąg. W jej oczach jednak pojawił się niepokój. Nie ponawiałem więc dalszych prób nawiązania rozmowy. Czasem, kiedy przechodziłem obok i widziałem ją w tej samej zastygłej postaci, miałem wrażenie, że to fatamorgana, jaka nawiedza zakątki miasta, w których do późna płynie gwarny potok ludzki, gdzie nie ma miejsca na zatrzymanie się i chwilę zadumy. Żeby nie spłoszyć kobiety, pozdrawiałem ją z daleka kiwnięciem głowy. Choć trudno powiedzieć, czy choć raz odwzajemniła tymże, to w jej oczach już nie było niepokoju, jaki odczułem przy pierwszym powitaniu.

Tymczasem obok przybywało eleganckich biur, restauracji i kawiarni, sklepów z zagranicznymi towarami i napisami. Większość mieszkań zmieniła swych właścicieli, w tynkach pojawiało się coraz więcej odnowionych fragmentów. Miasto niczym ciasto pozyskało wiele słodkich dodatków, ale jakby bez kalorii. Pojawiały się wciąż sklepy o nowych zapachach, dekoracje w postaci sztucznych palm, innych egzotycznych roślin, znaki renomowanych firm w nocy rozświetlano kolorowymi światełkami, które odbijały się w lustrach witryn.

Staruszka nadal miała jedno swoje okno na świat. Z popękkanymi, zakurzonymi szybami, lufcikiem, zamykanym na przedwojenny haczyk. Wciąż te same uporczywie kwitły pelargonie. Wciąż te same drzwi, w których siedziała na tym samym krześle, łączyły ją, a może oddalały ze światem zewnętrznym. Tak samo też była ubrana - ze swą nieodłączną chustą. I wzrokiem, utkwionym w dal.

Kiedy wróciłem z krótkiej podróży, przy Zamkowej 42 nie zobaczyłem dawnego, zastygłego w czasie widoku. W oknie, gdzie kwitły pelargonie, niczym na zdjęciu z kolorowego magazynu, w subtelnym oświetleniu ułożone były wyszukane akcesoria maleńkiego, lecz bardzo ekskluzywnego sklepiu z herbatą. Sympatyczna ekspedientka, kiedy wszedłem nareszcie do dawno obserwowanego pokoiku, z uśmiechem i pewną dozą kokieterii doradzała mi, jaką wybrać herbatę. Ostatecznie poprosiłem o pudełeczko Earl Grey'a. Dość długo i bardzo pięknie je opakowywała. Pomyślałem o starej brzydkiej kobiecie i nie potrafiłem już jej wyobrazić sobie mieszkającą w tym miejscu.

Czy ona kiedyś w ogóle tu była?



Wilno, ul Zamkowa. Dawna pocztówka.

Pomiędzy

Romuald Mieczkowski (*Wilno/Warszawa*)



Romuald Mieczkowski w Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas.

Dwie rzeki

*Wilia i Wisła -
pomiędzy rzekami dwoma
moje życie płynie*

O co w życiu chodzi

*Wiemy jak żyć należy
lecz nie ma czasu
żeby tak żyć*

*Czyż o to w życiu chodzi -
by czasu nie było
żeby żyć?*

Rodzice

*Jacyż młodzi, radośni i szczęśliwi
wprost promieniści naiwnie
bo się udało im namówić chłopczyka
o włosach białych jak mleko
by przetrzymał przez krótką chwilę
wiązaną sztucznych kwiatów
w oczekiwaniu na cudownego ptaszka
co miał wyfrunąć z ciemni atelier
ale czy tak naprawdę wyfrunął?*

*Skądże mogłem wiedzieć wtedy
że czas rozpoczął lat mych odmierzanie
i zakręcił raz na zawsze swe koło*

*Patrzę na rodziców tak pięknie młodych
chłopczyk uśmiechający się kwaśno
to ja w lipcu 1952 roku -
i bieg swój czas na chwilę wstrzymuje*



Autor z rodzicami w 1952 roku. Zdjęcie nawiązuje do wiersza pt. „Rodzice” z tomiku „Pomiędzy”.

Stół z czasów nadziei

*Po tym jak rozebrano dom w Fabianiszkach
jego duma dębowy stół-olbrzym*

*prztyłek swój znalazł w pokoju niedużym
na piątym piętrze szarego bloku*

*Z blatem rozsuwanym na wyjątkowe okazje
mieścił wokół siebie dwadzieścia parę osób
dzieci pod nim bawiły się w chowanego
podczas biesiady pies spokojnie drzemał*

*Jak misternie rzeźbione ma nogi ten stół -
z niekłamaną nadzieją na dobrobytu czas
ileż to pokoleń on widział i przygarniał
a teraz na nim samotnie wazon stoi -*

*Czeka stół aż spełni swe przeznaczenie
i usiądzie przy nim rodzina przybyła z daleka
by wspominać tych których nie ma
co wokół niego niegdyś razem zasiadali*

Zabory

*Gnębili nas ruscy na rubieżach
palili i odbierali wszystko
wywozili całymi rodzinami tam
skąd trudno było powrócić -*

*Kiedy żelazna kurtyna upadła
byłem i ja w paryżach i berlinach
bo żyję w Europie bez granic
choć i bez ziemi własnej*

*Ostałem się na bruku Warszawy
do której modlili się moi rodzice
i jaką od dzieciństwa ukochałem -
czemu więc w samym sercu polskości
nocą zakrzyczeć chcę pieśnią ruską*

Sam na sam z Ostrobramską

*Trzeba było przez tyle lat czekać
tej szczególnej chwili*

*By pójść przed siebie
przy tak nieodpowiedniej pogodzie
gdy z domu trudno się wychylić*

*Trzeba było przyjść o takim czasie
by sam na sam być z Twoim obliczem
i szczerze jak dziecko zapłakać*

Kara za grzech

*Postanowiłem przejrzeć książki
żeby zbędne oddać komuś
albo dyskretnie zostawić -*

*Przykucnąwszy przy półkach
wertowałem tomiki poezji
umacniając się w przekonaniu
że więcej niż milion poetów
chce zapanować nad metaforą
w tym romantycznym kraju -*

*Wyrzuty sumienia zmuszały
szukać jakichkolwiek powodów
by część dedykacji ocalić
zostawiałem więc książki
znajomych, miłych mi autorów
i tylko autorek pięknych -*

*Nie wytrzymała tego sowa
ze złocisto-brązowej statuetki
którą przyznano mi jako nagrodę
za mniej określony całokształt*

*i staranowała z górnej półki
ugadzając mnie boleśnie w plecy*

Radziecki Żołnierz w Wiedniu

*Jak na pełną przepychu siedzibę cesarzy
pasuje do metropolii monument z kolumnadą
i postimperialny jest w każdym swym calu
lecz błysk jego pozłoty odległy od Klimta -
bliżej mu do karabinu, młota i stali*

*Bez sensu szukać odpowiedzi na pytanie -
czy stoi ten żołnierz jako atrakcja turystyczna
ciekawostka z antypodów cywilizacji
czy na wieczną cześć i abstrakcyjną chwałę -*

*Wiedeńczycy otaczają monument opieką
dziękując Bogu że żołnierze co przybyli z daleka
nie wprowadzili w ich mieście swojego ładu*



Romuald Mieczkowski, *Pomiędzy*, Biblioteka znad Willi, Wilno 2018.

Grass i obieranie cebuli



Günter Grass, 2004 r., fot. wikipedia.

Romuald Mieczkowski

Obieranie cebuli bywa zajęciem często przykrym, pędzącym łzy. Udział kogoś w formacjach nazistowskich SS, kogo tak cenili i honorowali Polacy, to szczególnie bolesny dla nich cios. Dla Niemców też to bolesny przyczynek w ocenie zasad moralnych swoich elit. Choć mimo wszystko – jak to w życiu bywa – z perspektywy czasu wytłumaczalny, choćby lojalnością wobec swojej ojczyzny, mimo paskudnej formy służbie tejże ojczyźnie.

Nie wchodźmy w jałowe rozważania na temat: dlaczego na to wyznanie Günter Grass (autor m.in. „Blaszanego bębena”, red.) aż tyle lat czekał? – dziś, kiedy skandale zapewniają sukcesy komercyjne, niektórzy do nich wszak dążą. Ale pisarza, laureata Nagrody Nobla, niezłomnego bojownika o demokrację, niebywały sukces wydawniczy, chyba mniej cieszy. Tym bardziej, że do biednych nie należy.

Sprawa była bardzo szeroko komentowana w Polsce. Na Litwie - mniej, ale też nie pozostała bez echa. Wypowiedział się w tej kwestii w *Komentarzu pisarza* dla stacji radiowej „Žinių radijas” („Radio wiadomości”) m.in. Valdas Kukulius. Przy okazji dostało się Wałęsie, za to, że nie poda ręki Grassowi, a którego to podczas pobytu w Wilnie *mania wielkości wszystkim pozostawiła największy psychologiczny osad* - stwierdził dziennikarz. Tymczasem *wszyscy, którzy widzieli Grassa, zachowują go w swej najświatlejszej pamięci.*

Wałęsie, „narodowemu populiście” - rozważał dalej dziennikarz - daleko do intelektualisty światowej skali, dlatego był pewien, że noblista w tej trudnej sytuacji obdarzony jest wyrozumiałością.

Miałem okazję i ja rozmawiać w Wilnie z Grassem, ujął on i mnie swoją sympatią. I jeszcze jednym, czego zapewne nie doświadczył pisarz-komentator: otóż mieliśmy to samo zdanie w ocenie sytuacji i roli mniejszości narodowych, jak też spustoszenia, jakie przyniosła przymusowa migracja narodów, w ocenie losów - jak to niejednokrotnie mówił Grass wprost - „wypędzonych”. Nawet, pamiętam porównał losy Gdańska do Wilna.

Ma rację Kukulius, że młodość jest częścią życiorysu, że mimo różnorodnych interpretacji (tu powołuje się na sytuację na Litwie w czasie rządów Antanasa Smetony, ale trudno zrozumieć, co ma na myśli), fakty pozostają faktami. No, i - od siebie dodam - oczywiście, owe fakty składają się na wizerunek osób publicznych, szczególnie jeśli chcą uchodzić za autorytety moralne.

Wzorem wielkiego pisarza, mniej znany pisarz litewski wspaniałomyślnie przyznaje się do jednego, wstydliwego faktu i ze swojej biografii, dając pouczający przykład z własnego dzieciństwa i wyciągając wnioski - otóż zdarzyło mu się kraść róże z „działki kolektywnej”, i to nie było z kim, tylko z milicjantem, który miał pilnować terenu. Ale po tym Kukulius w życiu więcej nie kradł...

Przykład może to i bardzo literacki - wszak bardziej przemawiają do nas święci, co to grzeszyli, szczególnie za młodu, a potem się nawrócili. Ale jakoś nie bardzo przemawia skala porównań ułomności. Dobrowolne wcielenie „się” do struktur faszystowskich odróżniać należy też od przymusowego. Prawda, byli i tacy, którzy nie musząc robić coś dla swojej zagubionej ojczyzny, w odległych krajach, na ochotnika, brunatne mundury wkładali, a po latach, jak gdyby nigdy nic zostawiali nierzadko owymi autorytetami moralnymi. Czyżby do nich kierował Kukulius swą

konkluzję:

Dobrze by było doczekać tej godziny, kiedy i litewscy politycy, działacze kultury zdecydują się otwarcie powiedzieć, kim i gdzie byli w młodości?

Wypowiedź pisarza przeczytałem w komputerze. Opinie czytelników (miejscami bardzo naiwne, miejscami wręcz chamskie) świadczą, jak nieznany to na Litwie, w społeczeństwie – sięgającym Internetu i pewnie młodym – temat. Przykre, że przy okazji natarczywie powieliła ono znane stereotypy wobec innych i w tej sytuacji „trzecich” nacji.

Günter Grass zmarł w 2015 r. (red.).

Kasztan



Wilno, fot. Tadeusz Szostak.

Romuald Mieczkowski

Był dzieckiem, gdy matka zabierała go na spacer do Ogrodu Bernardyńskiego. Mieszkali nieopodal, przy ul. Popławskiej 16. Lubił zbierać kasztany. Podczas jednego ze spacerów, w 1937 roku, znalazł drzewko bez korzeni. Ojciec wątpił, czy młody kasztan przyjmie się. Matka mówiła: “Zobaczysz, on jeszcze nas przeżyje”.

Drzewko na wiosnę zazieleniło się, a potem zaczęło pięknie wzrastać. Aż zakwitło, zabrązowało się pierwszymi kasztanami. Ciesząc oko, zaglądał liściem do okna.

W 1945 roku rodzice mieli opuścić dom. Jakże nie chciało się jechać na jakieś Ziemie Odzyskane! Tu miał kolegów, swój świat, pełen krętych uliczek obok Safianik i Popławów, tajemniczo porośniętych brzegów Wilenki i równie tajemniczych zmierzchów wokół Trzykrzyskiej Góry. 17 maja całą rodziną poszli

na nabożeństwo majowe do Kościoła Misjonarzy na Subocz. Nie bardzo rozumiał, dlaczego wszyscy sąsiedzi płakali, obejmowali się. W rozmowach szeptem powtarzano słowo: NKWD.

Przedtem matka wybrała się na rynek. Poszukiwała litewską rodzinę, która jej spodoba się, by przekazać dom w dobre ręce. Dla ludzi młodych i potrzebujących, którzy nie muszą gdzieś wyjeżdżać. W ten sposób na Popławską przybyła rodzina Lukašunasów, "interes" został przypieczętowany dwoma butelkami bimbru. W domu sąsiadów - Kuszewskich, też pojawili się nieznajomi ludzie, i u Wróblewskich też.

Transportem nr 126 wyruszyli w nieznane. Wieźli swój dobytek, ograniczony do najniezbędniejszych rzeczy. Jechała też koza, jechała kura wysiadująca na jajkach. Po wielu dniach podróży, w okolicach Bydgoszczy, szczęśliwie wykluly się kurczaki. Nazwali je bydgoszczakami, choć ojciec kiwał w zadumie głową i mówił: "Jakież one bydgoszczaki, one wileńskie".

Różnie toczyły się dzieje rodziny, ostatecznie znaleźli swą przystań życiową w Olsztynie. Pomierali rodzice - Józef Kujawa i Helena z Tyszkiewiczów. Wilno odwiedził po wielu latach, po przełamaniu oporów wewnętrznych, by potem do miasta swej młodości podążać częściej, a nawet zachłannie, jakby chciał oddychać tym powietrzem, oglądać te obłoki, dotykać klamek starych drzwi. Pokochał miasto znowu, miłością bezinteresowną i wielką, całym doświadczeniem przeżytych lat, niespełnionych marzeń, wydobywających się z sieci dalekiej niepamięci.

Niczym pod wpływem magnesu jego wędrówki wileńskie zaczynały się i kończyły przy ulicy Popławskiej. Nie ma tu już rodzinnego domu, ani domostw pani Nowackiej, Kuszewskich, Wróblewskich. Tak samo tylko toczy swe wartkie wody niezmordowana czasem Wilenka. Od Belmontu po Ostrą Bramę zmieniono układ ulicy, obok zachowanych budynków dawnego Getta Żydowskiego.

Trudno było określić po latach, gdzie stał dom jego rodziny, gdyby nie kasztan, zasadzony dziecięcą ręką. Stary człowiek podchodzi, głaszcze drzewo, jak relikwie zbiera z trudem z ziemi kasztany. Czasem wydaje się, że Henryk słyszy głos matki: "Przeżyje on nas, przeżyje".

Wileński kasztan, fot. Tadeusz Szostak.